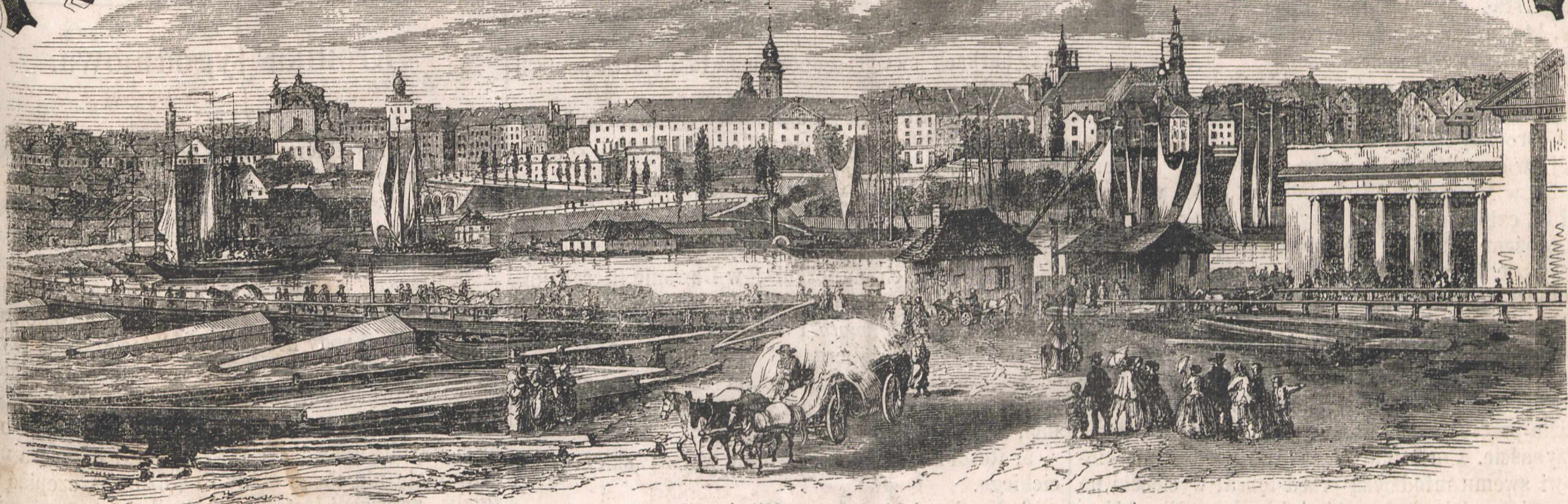


TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 25.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8,
półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, ⁵/₁₇ marca 1860.
Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie
rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartal.
rs. 3. Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM I.

TREŚĆ NUMERU.

Józef Paszkowski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Nad kołtyską, poeta. — Korrespondencje Tygodnika Ilustrowanego. — Wódz polski w ubiorze wojennym (z drzeworytem). — Niedziela i poniedziałek, dwie sceny z życia rzemieślniczego (z dwoma drzeworytami). — Po naszymu, komedia w dwóch aktach wiérsem (dokonczenie). — Korrespondencya od redakcyi. — Odezwa dyrektora Instytutu muzycznego warszawskiego. — Zoilus (z drzeworytem). — Szachy i rebus.

Józef Paszkowski.

„Kto dla kraju pracuje, Bogu pracuje.“

Józef Paszkowski urodził się dnia 19 marca 1787 r. we wsi Stokach, w gubernii grodzieńskiej, z Wincentego i Teodory z Miltonów, którzy znaczną część szlachecką w téjże wsi posiadali. Osierocony wczesnie śmiercią ojca, pobióraw pierwsze nauki w klasztorze ks. bazylianów w Borunach, a następnie u dominikanów w Grodnie, wyższe zaś cztery klasy ukończył w gimnazjum swisłockim, gdzie własnym zostawiony siłom, zmuszony był daniem korrepetycyj zamożniejszym uczniom na utrzymanie swoje pracować, i tym sposobem za młodu już wyrobił w sobie samodzielność, cechującą go tak wybitnie w życiu późniejszym.

Wkrótce téż ówczesne wypadki polityczne powołały go do czynu. Kiedy po utworzeniu księstwa warszawskiego, młodzież ze wszystkich stron kraju zbiegała się pod chorągwie Napoleona I, Paszkowski opuścił także Swisłocę, (po ukończeniu w niej całkowitego kursu nauk) i pospieszył do Warszawy. Pierwsze to swoje wstąpienie na widownię świata, sam później, ze zwykłą sobie dosadnością, opisał w liście do przyjaciela.

„Opuściłem Litwę w r. 1810, mając lat 22, przeszedłem w bród rzekę Bug i po większej części pieszo dostałem się do Warszawy. Ostatnie dwa grosze zapłaciłem za mostowe, i zaraz zaciągnąłem się do wojska, abym mógł podjąć z żołnierskiego kociołka. Karyerę wojskową rozpocząłem od prostego żołnierza i byłem nim przez 7 miesięcy, grając w stajni łopatą w billard, pucując konia, myjąc kociołek i skrobiąc kartofle pod pompą, gdy kolej kucharska na mnie przypadła. Honor i chwała były poezją wojsk księstwa warszawskiego, i dla nich chętnie znoszono wszelkie przywacze. Żył się jedynie racją z magazynu, to jest leciutkim rosolem z okrągłym grochem, który ordynans gotował, rzadko kawałkiem mięsa, a prało się koszulę w Wiśle, siedząc póty w wodzie, aż wyschła na brzegu. Nikt jednak na to nie narzekał, nie sarkał, owszem chełpiliśmy się z tego. Oficerstwo by-

ło przedemną daleko: jedyna perspektywa egzamen. Była wtedy urządzona w Warszawie szkoła wojskowa na dwunastu elewów, ze szkатуły króla saskiego; uczniowie téj szkoły byli podporucznikami, a wstępowali do niej na mocy złożonych egzaminów z nauk matematycznych. Owóz i ja z prostego kanoniera raptem wyskoczyłem na podporucznika. Kursa w szkole trwały rok; ale że potrzeba było oficerów, a chciało miejsce otworzyć dla innych elewów, więc po upływie trzech miesięcy wysłano nas ósmiu do pułków. Mnie przeznaczono na porucznika 2éj klasy do artyleryi pieszej.“

rają matkę i rodzeństwo, i znów pod znakami księcia Józefa pospieszył na pole bitwy, walczył w r. 1813 pod Borną i Lipskiem, a następnie z resztkami pułków polskich udał się do Francyi. Po upadku Napoleona powrócił do Warszawy, i w nowo organizującym się wojsku królestwa polskiego przeznaczony do kompanii 4éj lekkiej artyleryi pieszej, zostawał przez lat pięć w służbie frontowej.

Życie koleżeńskie, które rozpoczyna się dla młodzieży w szkołach publicznych, silniej niż w innych zawodach rozwija się w stanie wojskowym. Wspólne narażanie się na niebezpieczeństwa w czasie wojny, stosunki służbowe i pomoc braterska w czasie pokoju, ściśle między sobą jednoczą towarzyszy broni. To co Francuzi zowią *esprit de corps*, owa gotowość poświęcenia się wszystkich za jednego, jednego za wszystkich, silnie jeszcze wtedy wiązała wojskowych. Charakter Paszkowskiego szczery, otwarty, wesoły i towarzyski, jednał mu serca dowódców i kolegów. Lubo mniej więcej równy im wiekiem, ale skłonny do poważnych rozmyślań, nazywany był przez nich *patryarchą*, i w każdym niemal zdarzeniu zasięgano jego rady. Były to dla niego lata wycieczki i swobody.

Z dniem 15 kwietnia 1820 roku, to jest z chwilą przeniesienia go na oficera inspekcji i profesora artyleryi do korpusu kadetów w Kaliszu, zaczęła się nowa epoka w życiu Paszkowskiego. Rzucony losem na pole nauki, której teorią sam sobie przyswajać dopiero musiał, pracował niezmordowanie i wolne nawet od zajęć obowiązkowych godziny poświęcał kształceniu swych uczniów. „Taką w nich wzniciłem ochotę, pisze Paszkowski do jednego z kolegów, że co im czasu starczy, to obracają na rysowanie, w nagrodę czego w święta daję im lekcyje deklamacyi, wykładając przytém piękność myśli poezyi, oraz na czém ta piękność zależy, a słuchają mnie z roskoszą. Z każdego potrzebnego urobienia głosu zdaję im sprawę; ztąd sposobność utworzenia teoryi o rozmaitych wzruszeniach duszy i podciągnięcia deklamacyi pod prawidła. Tu miałem zręczność poznania siebie samego, iż gdybym się był wzięł do literatury za młodu, lepszy byłby ze mnie literat niż artylerzysta. Ale o tém wszystkiém ja tylko wiem i uczniowie klasy czwartéj.“ Przytoczyliśmy te słowa, dla okazania jak s. p. Paszkowski pragnął stać się użytecznym, nietylko w zakresie obowiązku, ale i nad obowiązek, jak wszędzie i zawsze był człowiekiem słowa i czynu.

W miesiącu wrześniu 1822 r. wezwany został na



JÓZEF PASZKOWSKI

(Rysował Gerson, rytował H. Röber w drzeworytni Tygodnika.)

Mianowany w roku następnym porucznikiem klasy 1éj, odbył w tym stopniu kampanię r. 1812. W bitwach pod Borysowem i Studzianną otrzymał chrzest wojenny i złoty krzyż *virtuti militari*. Gdy niedobitki wielkiej armii francuzkiej wracały do Polski, Paszkowski w przechodzie zdołał zaledwo powitać sta-

professora artylerii do nowo urządzonej w Warszawie szkoły wojskowej, zwaną aplikacyjną, przyczem miał sobie powierzony wykład tej nauki w szkole zimowej podoficerów artylerii i saperów. W roku następnym postąpił na kapitana.

W dniu 8 lutego 1826 r. ożenił się z panną Kornelią Krajewską, córką obywatela z Czerskiego, siostrzenicą generała Kickiego, i wkrótce dom zaczął tej pary stać się ogniskiem, do którego garnął się każdy, kto pragnął ogrzać serce widokiem cnót chrześcijańskich i szczerą gościnności.

Ze szkoły aplikacyjnej przeniesiony później do inspekcji materyałów artyleryjskich, był dyrektorem młyna prochowego w Marymoncie pod Warszawą, a dalej w stopniu pułkownika dowódcą artylerii wałowej w Modlinie. W sierpniu r. 1831 wezwany został na członka b. Tow. przyjaciół nauk.

Po wyjściu ze służby wojskowej, powrócił do Warszawy, gdzie w zaciszu domowym całą jego pociechą było otaczanie się młodzieżą i stosunki przyjaźni z takimi ludźmi jak Brodziński, Łukasz Gołombowski, Osiniński, Bentkowski i wielu innych. W roku 1833 otrzymał od rządu upoważnienie na założenie w Warszawie pensji prywatnej mekkiej, i w trudnym tym zawodzie przełożonego i nauczyciela wytrwał przez lat trzynaście. Corocznie prawie z powierzoną kierunkowi swemu młodzieżą przedsiębrał wycieczki po kraju, mianowicie do kopalń i fabryk w Olkuskiem, oraz do miejsc fabrycznych Łodzi, Zgierza, Czarkowy, Zduńskiej Woli i t. p., ażeby ją obeznać z płodami i potrzebami ziemi rodzinną, — słowem ze zwykłym sobie poświęceniem oddawał się zupełnie jej kształceniu. To też wpływ jaki słowem i przykładem wywierał na umysły swych wychowanców był nieograniczony, czarodziejski prawie, bo umiał działać razem na serce i na głowę, bo miłość ich miłością zdobywał.

„Największy dla mnie powab, pisze Paszkowski, kiedy mnie młodzi otaczają i uda mi się coś skrzywionego sprostować. Drugie miejsce trzyma korespondencya, w której wylewam się śmiało z moimi myślami; bo papier się nie sprzecza i zawsze ja jestem zwycięzcą.“ I dalej: „Radbym niedożył chwili, iżbym miał dla którego z moich uczniów stać się objętym. Ale tej dbałości nie zakładam na komplementach, na listach, na ukłonach przez wydarzoną okazją; ... ja chciałbym żeby oni życiem swoim, postępami nigdy się mnie nie wypierali.“

W roku 1837 mianowany inspektorem kursów dodatkowych pedagogicznych w Warszawie, pełnił obowiązki do posady tej przywiązane przez lat pięć, nie zaniechawszy jednak przytym pensji własnej. I tu, jak wszędzie, zjednął sobie wkrótce szczerą przywiązaną młodzież, która przy nauczających gawędach uwielbianego inspektora zapominała nieraz o obiedzie, i czas przeznaczony na spoczynek i posiłek (między 12 a 2 w południe) przepędzała w klasie. Po wzięciu emerytury w r. 1842, miał jednak aż do końca r. 1846 u siebie po kilku uczniów, a i później zawsze znalazło się dwóch lub trzech takich, którymi bliżej się zajmował. I tak do samej prawie śmierci pracował dla młodzieży, starając się wpaść w nią, prócz zamiłowania do nauk, szczególniejsze i surowe pojmowanie obowiązku.

W r. 1853 gen. Krasiński uprosił go na kierownika wychowania swoich wnuków (synów Zygmunta). Sześćdziesięciokilkoletni pułkownik długo się wymawiał, nie chcąc w tak sędziwym już wieku wyrzec się swobody i niezależności, którą zdobył twardym znojem żywota; ale raz jeszcze przemogła w nim miłość ku młodzieży i chęć gorąca stania się użytecznym krajowi. Przeniósł się więc do pałacu generała Krasińskiego i zamieszkał tam z jego wnukami. Gdy jednak po roku zaproponowano mu wyjazd z uczniami za granicę, najświetniejsze widoki materyalne nie zdołały skłonić go do opuszczenia ziemi ojczystej i rozstania się z rodziną.

W ostatnich latach życia krzepkie dotąd zdrowie Paszkowskiego chwiać się zaczęło. Nie mógł już sam zajmować się nauczaniem, lecz w poufałym kółku przyjaciół żywo rozprawiać lubił o najważniejszych kwestiach naukowych i społecznych, i jak zawsze, rozgałęzioną bardzo utrzymywał korespondencyą z Kraszewskim, Kremerem, M. Grabowskim, Sztymmerem, Trentowskim i t. d., oraz z wielą dawniejszymi kolegami i uczniami swoimi.

Corocznie zwykł był wyjeżdżać w porze letniej na

wieś do przyjaciół lub rodziny. W roku 1858 odwiedził w Kaliskiem ulubionego niegdyś ucznia swego, p. Józefa Jabłkowskiego, i w domu jego we wsi Cielcach, otoczony najtkliwszą opieką, po krótkiej chorobie zakończył życie dnia 7 października wieczorem. Przy wyprowadzeniu ciała z Cielec do kościoła o. bernardynów w Warcie, w pośród tłumnie przybyłych na ten obrzęd krewnych i przyjaciół, znalazło się czterech dawnych uczniów zmarłego, znalazł i kolega szkolny, były sędzia żmudzki Bortnowski, i ci na barkach swych szanowne zwłoki starca ponieśli do grobu.

Na niwie literatury Paszkowski czynnym był pracownikiem, chociaż niewiele podawał do druku. Z ogłoszonych pism jego znamy następujące:

1. Nauka praktyczna kanoniera, dzieło ułożone jeszcze w Kaliszu, a drukowane w Warszawie na wiosnę 1830 roku.

2. O metodach nauczania, w Dzwonie literackim, tom I posz. 4.

3. Artykuły: *armata* i *artylerya* w Encyklopedyi powszechnej Glücksberga.

4. Słów kilka o Śniadeckim do M. G. i wyjątki z listu nauczyciela do dawnych uczniów, w Pielgrzymie, tomie II.

5. Rosół kanonierski, w Album warszawskiem Wójcickiego.

6. Kardynalskie bóty, w Wieńcu Jachowicza.

7. Wielkanoc we wsi Stokach, w Rozrywkach pani Pruszkowej.

Oprócz tego zostawił w rękopisie rozległą korespondencyą literacką z różnymi osobami, godną ze wszech miar zebrania i ogłoszenia, tudzież wiele luźnych artykułów, jak: Postrzeżenia wieśniacze nad pisarzami w Warszawie; Od powietrza, ognia, głodu, wojny i filozofii niemieckiej wybaw nas Panie; Przypomnienie o Mrozińskim i t. d. Obszerniejsza praca, oczekująca także druku, obejmuje wspomnienia biograficzne o niektórych generałach polskich. J. I. Kraszewski, w liście do Paszkowskiego, tak o tém dziełku się wyraża: „Biografie te są tylko przeszliczną ramą, w którą Pan oprawiłeś myśli swe o świecie i ludziach, tak trafne, jasne, tak niesłychanie praktyczne, a tak dla nas ważne, iż po przeczytaniu ich nieustannie powtarzałem, że radbym je widział złotemi wyryte głoskami, dla powszechnego użytku.“

Ale nie na pracach literackich polegała istotna i największa zasługa ś. p. Paszkowskiego: był on przede wszystkim człowiekiem czynu i wpływu, jednym z tych coraz rzadszych już ludzi, co przejście swoje na ziemi znaczą poświęceniem i miłością bez granic. Wyrozumiały dla wszystkich, sam z siebie tylko nigdy nie był zadowolonym, obwiniając się o lenistwo, o brak wytrwałości; a jednak całe jego życie nieprzerwanem było pasmem prac pożytecznych, których zamiłowaniem rad był przeszczepiać i w młodzież pod kierunkiem jego zostającą. Gorliwy zwolennik matematyki, którą uważał za podstawę wszystkich nauk, zapalonym był przeciwnikiem filozofii spekulacyjnej i w ogólności wszelkich myśli zawiłych lub zdań nastrzępionych. Głęboko religijny, nieskazitelną prawości i niezłomnych zasad, powstawał zawsze gorąco przeciw zubożeniu dla wiary, przeciw materyalizmowi epoki i bezwzględnej przewadze rozumu.

„Wszystkie niemal dzisiejsze twory estetyczne lub filozoficzne, pisze do przyjaciela, są znamieniem zupełnego rozprzężenia obyczajów, piętnem zmysłowości. Żadne uczucie wzniosłe nie ożywia społeczeństwa; niema w niem pochopu do chwały, miłości, szlachetności, poświęcenia się; brudny egoizm jest sprężyną wszelkiego działania. Pisarze nie są już kapłanami, lekarzami duszy, brudny egoizm jest sprężyną wszelkiego działania. Pisarze nie są już kapłanami, lekarzami duszy, ale drażnicielem choroby. Wolą podżegać, bo za to im płacą; słowem świątynią muz administruje kupiectwo. Dobrze Pismo święte powiedziało: *Sapientia hujus mundi stultitia est*. Z wiarą zaginęła prostota obyczajów, niewinność serca, a za niemi i szczęśliwość.“

Z serdeczną za to radością witał wszystko, co tylko w literaturze naszej zjawiało się wzniosłego i pięknego, tak w prozie jak i w poezji. Z dawniejszych pisarzy cenił i kochał szczególnie Karpińskiego, a z nowszych Fr. Morawskiego, niegdyś towarzysza broni, Brodzińskiego, z którym go łączyła przyjaźń długoletnia, Kraszewskiego, Bohdana Zaleskiego, Odyńca, Pola i Ant. Czajkowskiego. W ostatnich czasach wielce go zajmowały i cieszyły czynności Towarzystwa Rolniczego, i mimo sił starganych, pilny brał

udział w zebraniach jego członków po domach obywatelskich w Kaliskiem. Na jednym to z takich zebrzań wyrzekł pamiętne słowa, które nam posłużyły za godło tego rysu pobieżnego, a księdzu prałatowi Ojrzanowskiemu do exorty na pogrzebie ś. p. Paszkowskiego:

„Kto dla kraju pracuje, Bogu pracuje.“

Kronika tygodniowa.

Przedewszystkiem muszę dać parę odpowiedzi na listy do mnie w bieżącym tygodniu wystosowane.

Panu Zb***, podającemu nader korzystną spekulacyą i radzącemu żebym też spekulacyą przedłożył w kronice tygodniowej dla użytku finansistom naszym, mam zaszczyt odpowiedzieć, że ciż finansisci w operacyach jakie odbywają nie wzięli jeszcze sobie za zasadę zasięgać rady kroniki tygodniowej. Cóż czynić? trzeba im wybaczyć to zaufanie w sobie, a trudnić się tak jak dawniej zbieraniem plotek miejskich.

Dziękujemy pannie M* za ciekawą wiadomość o miłości burmistrza miasta W** do córki kasyera miejskiego, ale nie chcąc nigdy i nigdzie zaszczycać niezgody, zmuszeni jesteśmy przemilczyć ten zajmujący wypadek.

Na listy zupełnie bezimienne, jako nie dające nam żadnej gwarancyi, nie mamy zwyczaju odpowiadać, i radzilibyśmy żeby każdy odzywający się publicznie trzymał się tej samej zasady.

A teraz wróćmy do spraw dziennych. Wiemy o dwudziestu kilku teatrach amatorskich, z których trzy czy cztery już odegrane. Z tych najważniejszą rolę grają dwa, na dobroczynność i na Felicyanki. Pierwszy ma się odbyć w salce Towarzystwa dobroczynności pomiędzy 20 a 25 b. m. Wybór sztuk, jak wiadomo: *Po naszymu* p. Józefowicza, ukończona dziś w Tygodniku i *Suknia balowa* p. Kucza. Dopełni widowiska krótka sztuczka francuzka. Przedstawienie ma być trzy razy powtórzone, a co ważniejsza, wniesiono projekt, żeby Towarzystwo dobroczynności zamówiło sobie stałe grono amatorów, którzyby kilkanaście razy na rok mogli przedstawiać sztuki oryginalne, umyślnie na ich użytek napisane. Jak słyszałem, dla zachęty autorów ustanowionoby pewne wynagrodzenie, co by wcale nie wpłynęło na zmniejszenie dochodu ubogich, bo ubytek pieniężny ztąd wynikły, pokryłyby się sowicie ożywieniem widowisk nowymi oryginalnymi utworami.

Przedstawienie na Felicyanki ma mieć podobno miejsce w teatrze Rozmaitości. Składać się ono będzie z komedyi *Dzieje serca* i ze sztuczki francuzkiej, przedstawionej już w naszym teatrze w przekładzie polskim, p. t. *Pamiętnik*. Próby już się odbywają, i zdaje się że przy końcu postu obie sztuczki będą mogły być gotowe do wystawienia.

Gotuje się również, jak słyszeliśmy, teatr amatorski na Przytulisko, o tym jednak bliższych szczegółów jeszcze nie wiemy.

Inne zapowiedziane widowiska amatorskie mają cechę czysto prywatną. Jak nas zapewniano, do jednego z nich napisał oryginalną a bardzo wesołą komedyjkę w dwóch aktach wierszem p. Włodzimierz Wolski. Może zrobiwszy tak piękny początek, zechce on się kiedyś i naszemu teatrowi komedyą albo dramatem przysłużyć. Zreżnemi swemi librettami dowiódł on już że na tém polu z wielkim powodzeniem pracować może. Doniesiona przez nas wiadomość o konkursie mającym się urządzić przez dyrektora teatru krakowskiego, stwierdziła się najzupełniej; tak więc będziemy mieli w tym roku aż trzy konkursy: na komedyę, na dramat i na libretto do opery. Jeżeli dalej w takim postępie iść będziemy, to autorom dramatycznym nie zabraknie zajęcia.

W teatrze Wielkim odbywają się ciągle próby *Listu żelaznego*, i wkrótce już ten dramat ukaże się na scenie.

Zwracamy uwagę czytelników na podaną w pismach publicznych wiadomość o mających się odbywać w salach resursy kupieckiej odczytach astronomii popularnej, fizyki, chemii i botaniki. Dzisiaj właśnie pierwsza część tych odczytów ma mieć miejsce. Małoznaczna opłata kilkunastu kopiejek od wejścia przeznaczoną jest na rzecz ochron Towarzystwa dobroczynności.

Przy ważnym stanowisku jakie obecnie zajęły nauki przyrodzone, wykład ich popularny powinien być pożądanym nawet dla najubożniejszych. Ci którzyby się w tym względzie na szkolnych tylko pragnęli ograniczyć wiadomościach, mogą być narażeni na smutne nieraz wydanie się z nieuctwem, w wielu nawet okolicznościach potocznej rozmowy. Nie wątpimy że damy nasze, które tyle już razy dawały z siebie dobry przykład tym od których właśnie braćby go powinny, będą licznie zgromadzać się na te odczyty, a nazwiska profesorów co się podjęli tego wykładu, są poręczeniem za gruntowność jego i umiejętnę zastosowanie do pojęcia ogółu.

W tysiącnych wypadkach nauki przyrodzone ważną odgrywają rolę i zapoznanie się z nimi staje się użytecznym tym nawet, którzyby się najmniej domyślali że wiadomości tego rodzaju zapotrzebować mogą. A nie potrzebujemy składać dowodów, bo chociażby ze względu tylko na zdrowie i upraktycznienie warunków życia, użyteczność ta dostatecznie już jest dowiedziona.

Widzieliśmy w tych dniach portret pana Kraszewskiego w wypuklorzeźbie, wykonany przez p. Oleszczyńskiego z bardzo podobnej fotografii. Portret ten zaleca się wielką starannością i czystością wypracowania. W utworach tego rodzaju najtrudniej jest może utrafić podobieństwo, głowa na medalionie bowiem jest półtora razy większą niż w naturze, przez co rysy olbrzymieją i trzeba starannie obrać punkt widzenia, żeby dzieło artysty w całej swojej piękności form wydać się mogło. Pan Oleszczyński jednak umiał starannie wyjść z tych wszystkich trudności, i portret jest podobny. Wiadomo że córki Mickiewicza, po obejrzeniu wszystkich portretów i posągów swego ojca, twierdziły że największe podobieństwo tak rysów jak i wyrazu twarzy utrafił pan Oleszczyński. Niemałym to zaszczytem dla artysty, niełatwą bowiem była do odwzorowania *cette face de lion*, jak ją nazywali Francuzi.

Znana jest z pism publicznych historia złodzieja, który w zeszłym tygodniu najadłszy się wraz ze swojemi współpracownikami powideł senesowych, skradzionych w piwnicy aptecznej, dostał się w ręce władzy policyjnej.

Już raz w Warszawie zdarzył się podobny wypadek z lekarstwem zwanem *Leroi*, które przed kilkunastu laty w wielkim u nas było użyciu. Jakiś również amator cudzej własności, obeznany trochę z francuzczyzną, sądząc z etykiety że to musi być wódka królewska, wychylił pół flaszki i o mało śmiercią nie przypłacił swojego łakomstwa.

Ale inną, bardzo zajmującą dla amatorów starożytności wiadomość mamy obwieścić czytelnikom. Podobno w jednym ze starych gmachów tutejszych odkryto piwnicę ze starymi winami i miodami, których rodzaju trudno się nawet dosmakować. Jest to także skarb niemały w swoim rodzaju, bo wartość tej piwnicy na kilkanaście tysięcy złotych polskich obliczają.

Składki na Instytut muzyczny warszawski coraz obficiej się gromadzą. W Lublinie uroczystość muzyczna, jak o tym donosiły dzienniki, bardzo pomyślne wydała rezultaty, w Kijowie z podobnych uroczystości i z darów prywatnych zebrano około 3000 rsr., a obywatele gubernii podolskiej uchwalili przy wyborach składkę z każdego powiatu po rsr. 300. Jeden z teatrów amatorskich, o których powyżej była mowa, miał także za cel przysporzenie funduszu na Instytut muzyczny.

Donoszą nam że p. Apollo Korzeniowski pisze nowy dramat, mający być dopełnieniem komedii *Dlamięgro grosza*, drukowanej w piśmie zbiorowym pana J. Ohryzki. Oprócz tego ma on na ukończeniu inną pracę dramatyczną p. t. *Rok 1860*. Ci którzy mieli sposobność słyszeć wyjątki z tego nowego utworu, odzywają się o nim z wielkimi pochwałami.

Najnowsza książka Wiktora Hugo, *La Legendes des Siècles*, znalazła u nas aż dwóch tłumaczy. Jednym z nich jest p. Apollo Korzeniowski, drugim p. Antoni Pietkiewicz (Pług). U nas także za pierwszym pojawieniem się tego dzieła drukowano w Bibliotece Warszawskiej przekład przez nieznanego nam tłumacza jednej z najpiękniejszych legend *Aimerillot*. W ogóle, zdaniem naszym, Wiktor Hugo należy do tych autorów, których tłumaczenie z największymi trudnościami jest połączone. W teatrze naszym

znajdują się dwa tłumaczone dramata tegoż autora, a mianowicie jeden z najcenniejszych: *Burgrafo-wie* (przełożył wierszem K. Kaszewski) i *Angelo* (przełożył prozą J. K.) Oba te przekłady zalecają się wielką wiernością i starannym zachowaniem zalet oryginału.

Pan Chęciński pisze komedią wierszem p. t. *Porządni ludzie*. Wyborny to przedmiot, bo jak się czytelnicy zapewne domyślą, tytuł wzięty jest czysto w znaczeniu ironicznym tego światowego porządku. Są to można powiedzieć molierowskie *świętoszki* dziewiętnastego wieku, ale *świętoszki* nie religii, tylko honoru i moralności, których się plemię u nas rozmnożyło obecnie, a których wytykać i smagać biczem śmieszności publicznej świętą jest powinnością komedyo-pisarza.

Libretto do opery p. Gabryela Rożnieckiego p. t. *Krzyż wojskowy*, jest już podobno na ukończeniu.

Polecamy czytelnikom naszym pięknie i starannie wydaną książkę p. t. *Proza i poezja polska*, wybrana i zastosowana do użytku młodzieży żeńskiej przez Paulinę Kraków. Samo to nazwisko jest już poręczeniem za staranny i umiejętny dobór artykułów, które wszystkie prawie wyjęte są z prac najznakomitszych naszych autorów i autorek.

NAD KOŁYSKĄ.

(Ze stariej piosnki polskiej.)

Śpij dziecino pańska,
Pościołka jedwabna,
Kołyseczka gdańska,
Złocona i zgrabna.

Nie dopieka słońce,
Muszka nie dogoni,
Bo na cztery końce,
Kotara cię słoni.

I cicha komnatka,
Nic spać nie przeszkodzi,
Nawet pani matka,
Na paluszkach chodzi.

Śpij dziecino pańska,
Wiozą ci zabawki
Z Krakowa i z Gdańska,
I z naszej Warszawki.

Z norymberskich sklepów
Sukienki ci dadzą,
I z podolskich stepów
Konika prowadzą.

Gdy wyrośniesz zdrowo,
Wśród wojen hałasu,
Pod szopą sejmową
Spać niebędzie czasu.

J. Prusinowski.

KORRESPONDENCJE

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Kraków, 9 marca 1860 r.

Przed tygodniem był Kraków bardziej niż zazwyczaj ożywiony, z powodu odbywających się posiedzeń Towarzystwa rolniczego krakowskiego i nowo założonego Towarzystwa wzajemnego ubezpieczenia od ognia, na które to obydwie zgromadzenia członkowie naszego Towarzystwa rolniczego w znaczniejszym jak zwykle zebrali się gronie. Jest to dla każdego nieobojętnego na rzeczy krajowe wypadkiem wielce pociesającym, a nie mylimy się zapewne, jeżeli w tym upatrujemy objaw nowo obudzonej, większej gorliwości obywateli dla spraw publicznych. Towarzystwo wzajemnego ubezpieczenia od strat przez ogień zrządzonych, które zaraz po zamknięciu obrad Towarzystwa rolniczego odbyło swoje pierwsze walne zgromadzenie, zawdzięczamy kilkunastoletnim zabiegom i staraniom pana Franciszka Trzecieckiego. Gorliwość ten o dobro kraju obywatel, którego żadne przeciwności nie zdołały odwieść od raz powziętego zamiaru, uzyskał przeszłego roku pozwolenie od rządu na założenie wzwyz wymienionego Towarzystwa. To też zasługi jego w najzaszczytniejszy sposób uznane zostały, zgromadzenie bowiem ogólne Towarzystwa ubezpie-

czeń, uchwaliło zaraz na pierwszym swoim posiedzeniu, doręczenie p. Trzecieckiemu adresu dziękczynnego z oświadczeniem, iż się dobrze krajowi zasłużył. Nie mogę tu wchodzić w szczegółowe rozprawy i uchwały tego zgromadzenia, ale donosząc wam o niemi, niech mi przynajmniej wolno będzie tej nowej instytucji z całego serca życzyć najlepszego powodzenia. Wartości ubezpieczone przewyższają obecnie już sumę 7 milionów złr. monetą austriacką, ażeby zaś Towarzystwo pomyślny był swój na przyszłość za zupełnie ubezpieczony uważać mogło, summa ta powinna być jeszcze trzy razy większą; gdy jednak kraj i ważność i donośność tej instytucji pojmuję, wątpić nie należy, iż obywatele coraz liczniej do niej przystępować będą, zachęcając do tego swoim przykładem najliczniejszą klasę ziemiańską, t. j. wieśniaków.

Nasza scena narodowa cieszy się tego roku najświetniejszym powodzeniem. Już od wielu lat publiczność tak licznie nie odwiedzała teatru polskiego, który prawie na każdym posiedzeniu bywa przepelnionym. Nasi artyści i artystki robią co mogą, aby zadosyć uczynić wymaganiom publiczności, a że scena nasza, jak to ogólnie przyznają, widocznie się podnosi, powinno to być dla nich zachętą do wytrwania w pracy. Z nowo przybranych wymieniam tutaj p. Dębickiego, który, lubo podobno jeszcze na żadnej większej scenie nie występował, jako komik wiele okazuje talentu; dalej pannę Safir z teatru lwowskiego i pannę Grabską przybyłą z Warszawy; obiedwie umiały pozyskać sobie sympatyą publiczności. Z początku zdawało się, iż wziętość tych dwóch artystek będzie z ujmą panny Biedrońskiej, od dwóch lat ulubienicy publiczności krakowskiej, wkrótce atoli pokazało się, iż większość, stojąca po za obrębem koteryjnej admiracji, wszystkie trzy równemi obdarza względami. Jeżeli stujeczna Fama i do was doniosła wieść o wieńcach i bukietach, jakimi p. Grabską obsypano przy jej drugim wystąpieniu, tłumaczcie to sobie przyczynami niezależnymi od gry artystki. P. Pfeiffer, korzystając z tak licznej zjazdu obywateli przybyłych na posiedzenia dwóch powyżej wymienionych zgromadzeń, ułożył się z dyrektorem sceny niemieckiej o odstąpienie kilku wieczorów.

Przez cały więc zeszły tydzień dawane były przedstawienia polskie, a ponieważ teatr za każdą razą przepelniony był widzami, nie zdaje się aby pan Pfeiffer na tym źle wyszedł. Publiczność, powtarzam, pokazuje wielkie zamiłowanie do sceny narodowej, a chociaż może do tego niemało przyczynia się lepsza bez porównania gra artystów, zawsze atoli jest to pociesającym dowodem nowo u nas rozbudzonego upodobania we wszystkiem co swoje.

Niemiecki teatr, który się wprawdzie nigdy nie mógł pochłubić świetnym powodzeniem, gdyż od początku jego istnienia wszyscy od niego stronili, dawniej przecież na operach był liczniej odwiedzany; dzisiaj bezwyjątkowo prawie bywa zupełnie próżny.

Wystawa sztuk pięknych już od niejakiego czasu otwarta. Między nadesłanemi tego roku obrazami mięści się, jak dotąd, niewiele utworów pędzla krajowego.

Wilno, 3 marca 1860 r.

Skończył się wesoły karnawał. Karnawał, słowo nader mile brzmiące dla matek mających córki na wydaniu, dla zruinowanych młodzieńców, przybywających do miasta z nadzieją schwycenia posagu i żony, dla młodych mężatek, znudzonych rokoszami domowego pożycia.

W ciągu tegorocznego zjazdu karnawałowego, odznaczającego się właśnie obecnością wielu posażnych panien, odbyło się kilka licznych maskarad i wieczorów tańczących w klubie, kilka balów i wieczorów u znakomitszych urzędników naszego miasta, łączących w sobie dwa cele, t. j. zabawę i wspomnienie biednych. W dniu 10 lutego, w sali gubernatorskiego pałacu, odbyło się świetne przedstawienie na korzyść ubogich. Dwie sztuki: jedna w języku rossyjskim, druga w polskim, i obrazy z osób, zajęły wieczór, a publiczność przepelniała salę. Amatorowie przedstawiający wymienione sztuki, wcale się nieźle ze swych ról wywiązali. Obrazy były śliczne, oczarowana publiczność sypała oklaski. Do zabaw karnawałowych zaliczyć także wypada *góry lodowe*, w ogrodzie botanicznym; ta nowa zupełnie u nas rozrywka, wy-

magająca szczególniejszej zreczności, mało jednak ma zwolenników.

Ale przejdźmy na pole literackie.

W dziedzinie piśmiennictwa więcej mamy pocieszających objawów, więcej ruchu umysłowego, więcej nowych pracowników. *Kuryer Wileński*, wychodzący od nowego roku pod nową redakcją i z nader powiększonymi ramami pod względem artykułów, szczególnie zajmuje teraz wszystkich zwolenników literatury. Każdy dziś u nas z zadowoleniem powtarza: mamy wreszcie nasz organ literacki, mamy ognisko życia umysłowego; my zaś musimy wyznać, że dotąd redaktor *Kuryera* nie zawiódł oczekiwań publiczności. *Kuryer* wzbudza powszechną u nas sympatyę, raz dla rzeczywistych swych zalet, powtóre jako nowość, lecz zawsze rezultat taki, że wzmagają się w liczbę abonentów (ma ich już 1070) i że ogół z niego zadowolony. Wrzeczy samój, *Kuryer* jako organ prowincyi, odpowiada mniej więcej wszystkim jej potrzebom, a redakcja składa się, oprócz samego pana Kirkora, z ludzi swiatłych i zdolnych. Lecz znacie już w Warszawie *Kuryera*. Wprawdzie odrodzony nie ma dotąd wyraźnej barwy i pewnego ustalonego charakteru, ale ten z czasem zapewne się wyrobi.

Naukowych dzieł, prócz książek do nabożeństwa, mało się tu ukazuje, jednak niektórzy wydawcy ogłosili kilka nowych utworów i przedruków. Syrokomla własnym nakładem wydał *Wrażenia pielgrzymy po swojej ziemi*, dzieło Iszy, *Z Litwy do Wielkopolski*. Jest to poemacik napisany zgrabnym i potoczystym wierszem. Częstochowie autor poświęcił największy ustęp, a śliczne słowa włożył w usta Kordeckiemu, odzywającemu się do nowego pokolenia. Oczekiwano wielu ważnych dzieł mających opuścić prasę w drukarni Kirkora i spółki, ale dotąd wyszły na widok publiczny tylko *Tryptyk* Kremera, *Chata wuja Toma* przekładu Przybylskiego i Iwickiego i 5ty tom *Żywotów arcybiskupów gnieźnieńskich, prymasów korony polskiej i w. ks. litewskiego*; do *Skarba* bowiem dyplomatów wielko-książęcych, królewskich, cesarskich, bull papieżkich, aktów publicznych i uchwał sejmowych, jeszcze się dorabia indeks, a *Sztuka u Słowian* Kraszewskiego dopiero drukuje się obecnie. Józef Zawadzki wydał: *Bibliotekę podróży i malowniczo-histerycznych opisów* seryą VI, *Wychodźców w Luizyany* i *Krzyštofa Kolumba* Lamartina. *Pamiętniki z życia Ewy Felińskiej*, serya 11; *Osiare i sumienie*, dramat opowiadany Korzeniowskiego; *Historyę kolka w płocie*, Kraszewskiego. Powiastka ta fantastyczno-obyczajowa, pełna głębokich pomysłów dotyczących najżywotniejszych kwestyj, nadzwyczaj ujmie czytelnika, a trafnie przedstawia analogią pomiędzy losem młodego dębu i kolejami życia biednego włościanina z wyższym duchowym usposobieniem; smutne wszakże w ogólności sprawia wrażenie. Ustęp pod tytułem *Jakoś to będzie!* i charakterystyka Rogalów Kijewskich jakże wiele nasuwa myśli w obecnym stanie naszej społeczności! Oby pan Kraszewski więcej i coraz więcej pisał podobnych powieści, stawiając nam przed oczy to jasne zwierciadło wad naszych; może też z czasem przestraszymy się własnego obrazu i głębiej zastanowimy się nad sobą... może *jakoś to będzie*. Wkrótce w téjże samej drukarni opuszczą prasę *Studia filozoficzno-katolickie* pani Ziemięckiej.

Pomiędzy objawami życia wileńskiego niepoślednie miejsce zajmuje teatr. Po zmianie dyrekcji spodziewano się wielu ulepszeń i słusznie, bo pan Szlagier, głęboki znawca sztuki dramatycznej, pojmujący wa-

żność jej wpływu na publiczność, dawał do tego prawo. Z początku publiczność nasza, nie zwyczajona do słuchania utworów poważniejszych, a może i netyliczna co dziś, nie wypełniała sali, lecz te złe czasy przeszły, a obecnie prawie przed każdym przedstawieniem tłok przy kassie teatralnej. Dyrekcya też nie zaniedbuje ulepszeń materialnych i moralnych, wybiera sztuki będące ozdobą naszej literatury, sprwadza artystów, nie szczędzi kosztów na garderobę i na dekoracye. Pomiędzy innymi grano: *List żelazny* Małeckiego, *Majątek albo imię* Korzeniowskiego, *Szlachectwo duszy* Chęcińskiego, *Karpaczkich gór* Korzeniowskiego, *Podrózomanię* tegoż i wreszcie *Barbarę Radziwiłłównę* Odyńca. *Barbara Radziwiłłówna*, znakomity utwór poetycki naszego zasłużonego pisarza, licznych zwabiła widzów, bo każdy, ceniąc poemat dramatyczny Odyńca, pragnął go ujrzyć na scenie.



WÓDZ POLSKI W UBIORZE WOJENNYM.

(Rysował Lewicki, podług szkicu A. Orłowskiego, rytował Stył w Warszawie).

Różni różnie oceniali *Barbarę* jako dramat; a że *relata refero*, powiem, iż większość publiczności, zachwycając się wzniosłymi lirycznymi ustępami tego utworu, zarzucała mu wszakże brak warunków scenicznych.

O stanie terażniejszym naszego malarstwa napiszę wkrótce szczegółowo; teraz nadmieniam tylko, że młody artysta, pan Śleńdziński, który obecnie bawi w Moskwie, wyjeżdżając z Wilna, sprzedał panu Adamowi Platerowi śliczny obraz, wystawiający *Staruszkę nawlekającą igłę*. Jest to studium z natury zrobione, pełne życia i prawdy, przypominające ową sławną Dowa babulę z motowidłem (la Devideuse). Pan Śleńdziński, jeżeli okaże z czasem zdolność twórczą, przy dzisiejszym mechanizmie i poczuciu natury, może stanąć bardzo wysoko pomiędzy naszymi artystami.

WÓDZ POLSKI W UBIORZE WOJENNYM.

PODŁUG SZKICU A. ORŁOWSKIEGO.

Drzeworyt jaki załączamy przedstawia, podług rysunku Aleksandra Orłowskiego, niewiadomego z nazwiska hetmana polskiego, na czele chorągwi hussarskiej. Ubiór hetmana i przybory na konia wyłącznie węgierskie; czamara i delia futrzana nie są wcale polskiego kroju; czapki kształt więcej polski, lubo artysta oprócz pióra czaplego, przystroił ją w inne, snąc więcej dla ozdoby i fantazyi, niż prawdy historycznej.

Strój węgierski, z wstąpieniem na tron Stefana Batorego, wszedł u nas w użycie; dotychczas pozostał jeszcze pamiątką tak odległych wieków ubiór zwany *bekieszą*, *bekieszką*, od nazwiska sławnego Bekiesza, nieodstępnego towarzysza broni króla Stefana.

Delie węgierskie, podbijane futrem, z ozdobnym wyszywaniem zewnątrz i bogatymi potrzebami, były również używane; z tych powodów cały strój hetmana polskiego, jaki widzimy w drzeworycie, można odnieść śmiało do czasów Stefana Batorego, Zygmunta III, a nawet późniejszych.

Hetman trzyma w ręku nie buławę, ale tylko buzdygan; wszakże często téj godności wodzowie nasi w miejsce buławy, właściwego godła swój władzy, używali i buzdyganów. Na wystawie starożytności i przedmiotów sztuki w Warszawie 1856 r., był podobny buzdyan księcia Janusza Radziwiłła, stalowy, nabijany złotem.

PO NASZEMU, KOMEDIA W DWÓCH AKTACH WIERSZEM. NAPISAŁ Zygmunt Hlebicki-Józefowicz.

(Dokończenie.)

AKT DRUGI.

Ogród, na lewo sceny ganek przed dworem majora, kilka schodów, filary i ławki, w głębi przecina scenę szpaler.

SCENA PIÉRWSZA.

ALFRED i WACŁAW (wychodzą z cygarami).

ALFRED.

A to się znudził na tym obiedzie.

WACŁAW.

Zawsze się nudzisz, panie Alfredzie.

ALFRED.

A no, to prawda, panie Wacławie, że w towarzystwie niektórych ludzi Nigdy, przenigdy się nie zabawię. Na przykład major, zawsze mnie

[nudzi, że się odmienił teraz świat cały, że dawniej tutaj lepiej bywało, kiedy się dobre wino spijało, i kiedy nikt się nawet nie spytał, czy tam kto czytał, czy też nie

[czytał Najświeższych płodów literatury; A kiedy wpadnie na swoje góry,

Na Samosierrę — jak zacznie prawić, Jak to on musiał we krwi się pławić, Bić nieprzyjaciół i z całej mocy, Bądź zdrów — nie skończy aż o północy. A to jest nudne, przyznaj sąsiedzie.

WACŁAW.

Mnie to nie nudzi, panie Alfredzie; Owszem, gdy słyszę opis tych czynów, Co przyczyniły tyle wawrzynów, I które błyszczą na dziejów karcie, Nie błędną nawet przy Bonaparcie, To mnie unosi, to mnie porywa, I żal, że teraz inaczej bywa.

ALFRED.

Eh! boś marzyciel, panie Wacławie, Ja bo tém wszystkiém się nie zabawię.



NIEDZIELA.



PONIEDZIAŁEK.

Rysunki te (epizod z życia rzemieślnika naszego. ułożony przez utalentowanego artystę, p. Henryka Pillatego, a rytowany przez p. Drażkiewicza w Warszawie) podajemy bez opisu, bo przedmiot sam się tłumaczy.

WACŁAW.

Nazwa marzyciel, to dla mnie wiele,
Bo jacyż u was są marzyciele?
Ten kto dla drugich siebie poświęci,
Kto czyją boleść sercem podziela,
Komu litosna łaza się zakreści
Nad tém, co wszystkich was rozwesela,
Kto pojmie święte cele przyjaźni,
Kto jak wy, nie jest pieniędzy czciciel,
Kto się nie zniży, kto się nie zbłaźni,
O! to szalony, warjat, marzyciel!
Kto wielkie dzieła Boga pojmuje,
A swoim duchem przebija światy,
I kto się czując sercem bogaty,
Mówi co myśli, myśli co czuje,
Kto na swój twarzy nie nosi maski,
A złota nie ma żywota celem,
Kogo nie zwodzą bogactwa blaski,
To także u was jest marzycielem!

ALFRED (ziéwając).

A ślicznie mówisz, szczytnie! przecudnie!
Ale daj pokój, bo diablo nudnie.

WACŁAW.

O! wiem, z was każdy niechętnie słucha,
Gdy kto chce zbudzić gnuśnego ducha,
Wy tylko komfort macie za hasło...

ALFRED (przerywa, oglądając cygaro).

Masz tobie, brawo, cygaro zgasło!

WACŁAW (koncząc).

W żyłach wam płynie nie krew, lecz woda...

ALFRED (spacerując przerywa).

Jaka téż dzisiaj piękna pogoda.

WACŁAW (miarkując się).

A prawda. (po chwili) Wiész pan co panu powiem?
Cieszysz się szczęściem, majątkiem, zdrowiem,
Jednak nad panem ja się lituję.

ALFRED (stając).

A ja litości nie potrzebuje,
I powiem panu, że jój nie znoszę!

WACŁAW (na stronie).

Może rozruszać da się potrosze,
Teraz podobny przecież do ludzi.

ALFRED (machnąwszy ręką, przechadza się).

Chciałem się gniewać, lecz i to nudzi.

SCENA DRUGA.

ALFRED, WACŁAW, HANNA z CIOTKĄ (wchodzą).

A czy to grzecznie opuszczać damy,
Że aż my same panów szukamy?
Miło odetchnąć w szpaleru chłodzie,
Może przejdziemy się po ogrodzie?

(Wacław z Hanną idą naprzód, Ciotka podaje rękę Alfredowi, przystając cokolwiek i idąc mówić).

CIOTKA.

Bądź dobrej myśli, panie Alfredzie,
Już pewno wszystko nam się powiedzie,
Brat mój, choć zawsze jest trochę dziwnym,
Jednakże panu nie jest przeciwnym.

ALFRED.

Lecz Hanna?

CIOTKA.

Hanna jest młoda, płocha,
I jeszcze nie wie kogo pokocha,
Ona jest jeszcze jak pączek kwiatu,
Co się uśmiecha całemu światu...

(wchodzą w ałeg, podczas poprzedniej rozmowy wychodzi major z fajką i gazetą i siada w ganku.)

SCENA TRZECIA.

MAJOR, później DYLCZEWSKA.

MAJOR.

A nuż, godzina zbliża się próby,
Czy nie omylą mnie me rachuby?
Do stu kartaczy, zaraz ocenię,
Co warte młode to pokolenie.

DYLCZEWSKA (wpadając na scenę).

Jegomościuniu — panie majorze!
Jezus Marya! czy to być może?

MAJOR.

Cóż to się, moja Dylcesiu, stało?
Czy ci się znowu co przywidziało?

DYLCZEWSKA.

Jezus Marya, Józefie święty!
A toż to mówią, że Handzia nasza...
Że ten pan Alfred jest nią zajęty.
Jegomościuniu, to mnie przestrasza!
To jakiś panicz i cudzoziemiec,
Ot prosto, uszy uczciwszy, Niemiec!

MAJOR.

Co się tam martwi moja Dylcesia,
Jakoś to pójdzie z pomocą Bożą.
Czy to nie lepszy ten pan z Zalesia?
DYLCZEWSKA (weseląc).

A i mnie karty dobrze coś wróżą,
A i te konie com w śnie widziała...

(wychodząc)

Jezus Marya, historia cała!

SCENA CZWARTA.

MAJOR czyta gazetę, CIOTKA z ALFREDEM a HANNA z WACŁAWEM przechodzą kolejno w ałeci.

ALFRED (do ciotki przechodząc).

No, naturalnie, tam co innego,
Choć wiele złego, lecz i dobrego,
I chociaż także w Warszawie nudno,
Lecz jest ruch jakiś, przynajmniej ludno;
Są i zabawy, teatr, resursa,
W karnawał bale, a w lecie kursa...

(wychodzą).

MAJOR (za odchodzącymi).

Do stu kartaczy! wstyd się młokosie,
Co nie pomyślisz o swoim losie,
Tylko zabawę swym celem widzisz,
Wszystko cię nudzi, z wszystkiego szydzisz.

(WACŁAW (do Hanny przechodząc).

O! bo do szczęścia mało potrzeba,
Kawałek ziemi, a dużo nieba;
Jednego serca, coby w niedoli
Mogło zrozumieć co nas tak boli;
A przy skonaniu, w chwili ostatniej,
Choć jednej tylko, jednej łyzy bratniej...

(wychodzą).

MAJOR (za odchodzącymi).

A ja ci powiem: mazgaj z waszeci!
(przedrzeźniając)
Kawałek ziemi, a dużo nieba,
O tak — tak zwykle mówią poeci.
A powszedniego to nie chcesz chleba?
Czy to poeci powietrzem żyją,
I tylko roś z kwiateczków piją?
A toż się żona diablo uraczy
Z takim małżonkiem, do stu kartaczy!

SCENA PIĄTA.

MAJOR, JAKUB.

JAKUB.

Panie majorze — podług rozkazu...

MAJOR.

A najprzód, mości panie sierżancie,
Nie mówże ciągle tego wyrazu!

JAKUB.

Podług rozkazu, mój komendancie!

MAJOR.

Rzućże do licha twoje przysłowie,
Do stu kartaczy! każdy się dowie,
Żem ci rozkazał listy przynosić!

JAKUB.

Podł... (zatyka usta ręką) nie! nie podług rozkazu, prosięc

Pana majora tutaj przychodzę,
Że choć zlecenia trzymam się srodze,
Czy można bramą przepuścić krowki?

MAJOR.

A któż to waścia zwolnił z placówki?
Do stu kartaczy! a toż to zdrada,
To kulą pachnie taka szarada!

JAKUB.

Podług rozkazu, czekam wyroku.

MAJOR (śmiejąc się).

No ruszaj sobie, ty stary smoku!

JAKUB.

Podług rozkazu, pan pewno młody?

MAJOR.

No ruszaj! krowy wpuść do zagrody,
Ale z dziedzińca nie puść nikogo.

JAKUB.

Podług rozkazu.

MAJOR.

Marsz! prawą nogą!

(Jakub wychodzi).

SCENA SZÓSTA.

MAJOR, ALFRED (przechodzi w głębi).

MAJOR.

Prosimy bliżej, panie Alfredzie.

ALFRED (zbliżając się).

Major spoczywa tu po obiedzie.

MAJOR.

Bom do niczego więcej nie zdatny.
Trochę posłuchać mnie racz łaskawie,
Mam interesik dość delikatny...

ALFRED (na stronie).

Bon! a to złapał mnie w swoje szpony,
I zacznie pewno prawić androny!
Niech sobie gada, będzie się gniewać,
Lecz albo usnę, lub będę ziewać.

(siada z rezygnacją).

MAJOR.

A więc już sobie wstępu uskapię,
I tak od razu ad rem przystąpię.

(chrząka)

Panie, twój rodzic świętej pamięci...

ALFRED (na stronie).

Oho! coś stary na serjo kręci...

MAJOR.

Chociaż był człowiek zacny jak rzadko....

(na stronie)

Jakoś mi kłamstwo nie idzie gładko....

(głośno)

Lubił dowoli świata używać.

Owóż więc tedy, nie racz sięgniewać,
Na różne zbytki, których żal zliczać,
Musiał od Żydów ciągle pożyczać,
Zaciągał długi — nie płacił...

ALFRED (przerywa).

Ale

Ja o tém wszystkiém wiem doskonale
Panie majorze.

MAJOR.

Do stu kartaczy!

Do czego zmierzam wnet pan obaczy.

(chrząka).

Jest tu Żyd Mosiek w pobliżkiem mieście,
Ten mu pożyczył dukatów dwieście,
Tak, zdaje mi się, przed laty pięćią,
Ma w rękę rewers z ojca pieczęcią...

ALFRED.

Jakto? ma rewers? jakim przypadkiem?
Może sfalszował!

MAJOR.

Ja byłem świadkiem,

Gdy pański rodzic dług podpisywał.

ALFRED.

E! że tam sobie ojca odrwiwał,
By mnie oszukał to nie stanowi.

MAJOR.

Lecz ojciec winien temu Żydowi.
Żyd biędny, chory w nędzy umiera...

ALFRED.

Niech nie pożyczka, niech nie obdziéra!
A zresztą nic mnie to nie obchodzi,
Bo mój majątek z matki pochodzi,
Bo wczas od ojca długów uciekłem,
Po nim się całej sukcesji zrzekłem
I płacić długów nie myślę wcale,
To mu pan powiedz.

(Przy ostatnich słowach wstaje i łączy się z przechodzącymi w głębi.)

SCENA SIÓDMA.

MAJOR później WACŁAW.

MAJOR (za odchodzącym).

Tak! doskonale!

Do stu kartaczy! wściekłość porywa,
I to się młodzież teraz nazywa!
Chciałbym, by ulżyć mojemu sercu,
Sto plag wyliczyć mu na kobiercu!
Zrzekł się sukcesji, a z nią zarazem
Zrzekł się honoru — wyrzekł się cześci,
I tém się cieszy, i tém się pieści.
O! toby dawniej nie uszło płazem!

(Przechodzą damy z Alfredem i Wacławem, ten ostatni oddziela się od spacerujących i zbliża się do majora.)

WACŁAW (zbliżając się).

Cóż tak pan major samotnie siedzi?

MAJOR.

Zwyczajnie stary z myślą się biedzi.

Ale siadajże, panie Wacławie,
Mam coś powiedzieć — słuchaj łaskawie.

(WACŁAW (siadając).

Słucham rozkazów pana majora.

MAJOR.

Widzisz mój panie, jeździłem wczora
Ot, do miasteczka po wiktuały;
Ten biędny Mosiek do nóg mi pada
I różne dziwne rzeczy powiada:
Że ten brat pański, co znikł bez wieści,
Choć nie ujmuje mu w niczém cześci,
Ale go zarwał na dwa tysiące;
Owóż więc zwrócił proźby gorące,
I na mnie słowo wymógł w ostatku,
Że panu wspomnę o tym wypadku.

WACŁAW.

Panie majorze, dziękuję szczerze,
Żeś mnie oświecić raczył w tej mierze.
Nic nie wiedziałem o tém, Bóg świadkiem,
A gdy szczęśliwym dla mnie przypadkiem
Tyś o tém doniósł, panie majorze,
Pozwól, niech dzięki stokrotne złożę.
Jakżem szczęśliwy, że w oczach świata
Oczyszczę pamięć drogiego brata,
Że jeśli da Bóg powróci cały,
Imię bez żadnej znajdzie zakały.

MAJOR (rozrzewniony).

Zacny młodzianie, podaj prawicę,
Twoją przyjaźnią niech się poszczycę.

(do siebie)

Hm! aż łza poszła i mnie staremu,

(głośno)

Do stu kartaczy, to po naszemu!

SCENA ÓSMA.

CIŻ, ALFRED, CIOTKA i HANNA (wchodzą z alei).

CIOTKA.

Opuszczać damy, to bardzo grzecznie,
Jak pan zrobiłeś, panie Wacławie.

ALFRED (do Hanny z przymileniem).

Lecz nie opuszczać, to niebezpiecznie.

WACŁAW.

Ja się rozmową z majorem bawię.

MAJOR (woła w drzwi ganku).

Otwórz tam okno w jadalnej sali!

CIOTKA (do Wacława, idąc ku alei z Hanną).

A, myśmy może panom przerwali
Wielką dysputę o łak uprawie.
O zbiorach siana lub o potrawie,
Lub o nawozach kwestyą ciekawą,
Bo to najmiłszą dla was zabawą....

(Wszyscy wchodzą w aleę, Alfred, widząc że cygaro zgasło, wraca się.)

MAJOR (siadając).

(na stronie)

No teraz będzie ostatnia próba.
Tylko co patrzeć mego Jakuba.

SCENA DZIEWIĄTA.

MAJOR, ALFRED, JAKUB.

JAKUB (wchodząc).

Podług rozkazu....

MAJOR.

A cóż tam powiesz?

JAKUB.

Podług rozkazu, pan się ztąd dowiesz.

MAJOR.

Cóż to takiego?

JAKUB.

Pismo przejęte.

MAJOR.

A podaj wasze; cóż niém objęte?

(bierze i łamie pieczętkę)

A zkąd posłaniec?

JAKUB.

Ze wsi Górzysko.

MAJOR (kładąc okulary).

No, dobrze, ruszaj na stanowisko.

(Jakub wychodzi.)

ALFRED (zbliżając się).

Cygaro zgasło, niech pan pozwoli.

MAJOR (podając fajkę).

Owszém, w mój lulce żaru dowoli.

(podczas gdy Alfred zapala, major czyta i porywa się)

MAJOR (udając gniew).

Co! co! co! co! do stu kartaczy!

Co to za napad? co to się znaczy?

ALFRED (obojętnie oddając fajkę).

Panie majorze, cóż to się dzieje?

MAJOR (podając list).

Czytaj i radź mi, bo oszaleję!

ALFRED (czyta).

„Najszanowniejszy panie majorze!
Ja nie wątpiłem o twym honorze,
Tak nas zwodziłeś dotychczas zęcnie,
Ale od czasu jakęś mi w Łęcznie
Odprzedał znane ci dwa ogiery,
Powiem ci żeś jest cztery litery!
W obywatelskiém zasiadasz gronie,
A nam sprzedajesz nosate konie;
Toż poczciwością ma się nazywać,
Ażeby braci szlachtę odrwiwać?
Lecz kończę, i tak pisząc za długo.
Mam honor zostać najniższym sługą
Karol Gorzywski.“

MAJOR.

Do stu kartaczy!

ALFRED (obojętnie).

Niechże się major miarkować raczy,
To nawet gniewu twego nie warte.

MAJOR.

Ale cóż robić?

ALFRED (jak wyżej).

Posłać mu kartę.

MAJOR.

Cóż to za kartę? do stu kartaczy!

ALFRED (jak wyżej).

No kartę. Major w karcie oznaczy
Broń, czas i miejsce waszój rozprawy,
Wszysto się skończy cicho, bez wrzawy,
Z szykiem angielskim, już ja ułożę,
Twym sekundantem będę majorze.

MAJOR.

A! sekundantem? dobrze, dziękuję!

(na stronie)

Jak on to wszystko zimno przyjmuje.

(Wacław z damami przechodzi w głębi).

SCENA DZIESIĄTA.

CIŻ i WACŁAW.

MAJOR (wołając na przechodzącego).

Panie Wacławie! do stu kartaczy!

WACŁAW (zbliżając się).

Cóż mi pan major rozkazać raczy?

MAJOR (dając list).

Czytaj i radź mi (na stronie) Ostatnia próba,

Czy też na jedno zgodzą się oba.

WACŁAW (przeczytawszy wybucha gniewem).

Ha! (biegnąc) konia! konia! w łeb mu wypalę!

(wybiega)

MAJOR (idąc za nim).

Brawo Wacławie! to doskonale!

A toż się zerwał, aż i ja drgnąłem.

A toż to wulkan pod tym popiołem!

(patrząc za kulisy)

A kat go wiedział, że w nim jest dusza!

Dosiadł rumaka... z kopyta rusza....

(biegnąc)

A to cóż znowu? co to się znaczy!
Dawajcie konia, do stu kartaczy!

(wybiega).

ALFRED (sam).

Czy oszaleli? owarjowali?

Wacław jak dzieciak wnet się zapali,

I dla przyjaźni tak się poświęci,

Że jeszcze kiedy karku nadkręci.

A i majora cóż wiek nie studzi.

Wszystko to dobre, ale mnie nudzi!

(przechodzi się po scenie paląc cygaro, ciotka z Hanną wchodzi z alei).

SCENA JEDENASTA.

ALFRED, CIOTKA, HANNA, później DYLCZEWSKA.

CIOTKA.

Cóż to się stało, panie Alfredzie?

ALFRED.

Nie wiem, gdzieś major podobno jedzie.

CIOTKA.

Tam na dziedzińcu słyszałam krzyki.

ALFRED.

Gdzieś pojechali oba młodziki.

CIOTKA.

Jakto?

ALFRED.

Bo major za nadto młody!

CIOTKA.

Nagłój przejazdki jakież powody?

DYLCZEWSKA (wpadając).

Jezus Marya! ratuj nas Chryste!

A to skąd jest oczywiste!

HANNA (zbliżając się do niej).

Cóż się to stało, moja Dylcesia?

DYLCZEWSKA.

Złota panienko, ten pan z Zalesia,
Jak ztąd wyleciał, jak dopadł konia,
Pędzi przez rowy, płoty i błonia,
I jakby wichur jakiego ucieka.

Za nim jegomość goni zdaleka,

Krzyczy i woła i macha ręką!

Ażem się zlekła, złota panienko!

CIOTKA (do Alfreda).

Czy ci panowie się poróżnili?

ALFRED (uspakajając).

Nie, ot tak sobie wyścig zrobili.

Niechże się panie już uspokoja

I złych ztąd skutków niech się nie boją.

Ot tak, im zakład przyszedł do głowy,

I urządzili wyścig przez rowy.

(rozmawia z ciotką.)

HANNA (na stronie).

Mnie się chce płakać, Boże, mój Boże!

Niech twoja łaska im dopomoże!

Jeśli Twa wola, mnie zabierz, Panie,

Lecz niech obydwom nic się nie stanie.

(składa ręce i chwilę tak stoi.)

SCENA DWUNASTA.

CIŹ I JAKUB.

JAKUB (wchodzi z kijem).

A to nieszczęście! a to sromota!

Podług rozkazu, panienko złota!

CIOTKA.

Cóż to takiego?

JAKUB.

Podług rozkazu

Ja nie chybiłem jeszcze ni razu;

Komendant kazał mi stać przy bramie

I nie wypuszczać nikogo w świecie.

Nie miałem bronii, więc kij na ramię,

I stałem sobie jak na widocie.

A wtém pan Wacław na konia siada,

Ja myślę sobie, to trudna rada,

Podług rozkazu, pan major kazał,

Nieposłuszeństwem jabym się zmaszał?

A więcem minę nastroił dwornie

(pokazuje kijem)

I w stanowisku stałem odpornie.

A wtém ja patrzę, pan Wacław w pędzie.

Podług rozkazu, a cóż to będzie?

Wołam: kto idzie! nie odpowiada,

Powtarzam: znów nic, ha! trudna rada.

A więc się naprzód wysuwam śmieje:

Podług rozkazu, stój! bo wystrzele!

On pędzi, milcząc jakby opoka,

(pokazuje kijem)

Więc ja przykładam strzelbę do oka

I jeszcze wołam: pardon! lub hasło!

Sacrebum! bum! bum! aż w uszach trzasło!

Lecz ja kij miałem, więc wina czyja,
Że ja nie mogłem wystrzelić z kija?
Gdybym miał strzelbę, dałbym mu ducha!
Proszę się o nią, major nie słucha.

CIOTKA.

No i cóż dalej?

JAKUB.

Ha! i cóż dalej?

Widząc że z kija nikt nie wypali,
Stanałem w bramie przy średnim słupie
Myśląc: przejedziesz, lecz po mym trupie!

A wtém spieruzgą jak konia gwiźnie,

Jak koń nogami do góry bryźnie,

Ani się potknął, ani zawadził,

Lekko i zręcznie bramę przesadził,

I nimem spojrział w koło oczyma,

Świsnął i cmoknął, i już go niema!

HANNA.

I gdzież popędził?

JAKUB (koncząc).

Panienko złota!

Gdyby to nie to, że to sromota,

Żem nieposłuszny był jegomości,

Łzy by mnie chyba poszły z radości,

Jak panicz konia zażywać umię,

I jak koń pana swego rozumię!

Aż mi przypomniał dawniejsze czasy,

Kiedyśmy kłuli te gerylasy,

Kiedy lancami, z ogromną chwałą,

Karabatalion się rozbijało,

Gdyśmy sacrebum! podług rozkazu

Szera morenę wzięli od razu.

ALFRED (drwiąc).

Czyś był dowódcą, stary wiarusie?

JAKUB (surowo pokręcając wusą).

Podług rozkazu, mój panie musie!

Nie trzeba sobie drwić z naszej wiary,

Biliśmy także i Angieleczyków.

ALFRED.

Czy nie przymówka do kołnierzyków?

Na honor prawda, wyborny stary!

SCENA TRZYNASTA.

CIŹ, MAJOR (prowadząc pod rękę Wacława).

MAJOR, (koncząc do Wacława).

Szczęściem, że upadł koń i zleciałeś,

Bo diablo prędko mi uciekałeś....

CIOTKA.

Zkądże panowie? co to się znaczy?

MAJOR.

Ot krótko powiem, do stu kartaczy!

(wskazując Wacława).

To mój zięć siostró, a twój mąż Hanno!

(do Hanny)

No zbliż się tutaj, moja ty panno,

I podaj rękę twemu przyszlęmu.

(łącząc ich)

Do stu kartaczy! to po naszymu!

CIOTKA.

Cóż się to znaczy, mój bracie miły?

MAJOR.

Że mi się wasze swaty sprzykrzyły,

Że mi się Wacław szczerze podoba,

Że mu się dobrze powiodła próba,

Bo w nim jest życie, w nim duch nie drzymie,

Bo postępuje tak jak się godzi,

Oczyszcza z długów braterskie imię.

(patrzając na Alfreda)

Nie mówi, że to go nie obchodzi,

A za zniewagę mych siwych włosów

Sam bieży skarcieć hardych młokosów,

Sam pędzi wichrem za mnie się strzeląc,

I nie żałuje krwi swojej przelać,

A więc ja córkę oddaję jemu.

Do stu kartaczy! to po naszymu!

ALFRED (zimno do Wacława).

A więc wiesz, panie sąsiedzie.

MAJOR (do Alfreda).

A co do ciebie, panie Alfredzie,

Już nie potrzeba posyłać karty!

ALFRED.

Jakto?

MAJOR.

Bo wszystko było na żarty.

Dług twego ojca tylko udany,

A moją ręką list napisany.

ALFRED.

Panie majorze, cóż ten żart znaczy?

MAJOR.

To była próba, do stu kartaczy!
Ale ztąd żalu nie miéjże do mnie,
Bom ja szczęśliwy dzisiaj ogromnie,
I nie odmawiaj nam dziś honoru,
Spędzić chwil kilka aż do wieczoru
I spełnić pary kochanej zdrowie.

No proszę za mną, mości panowie!

(idzie ku drzwiom, Wacław z Hanną za nim rozmawiając po cichu)

ALFRED (na stronie).

Chciałbym się gniewać, lecz nie wypada,
A szkoda: pięćkroć, posag nie lada!
Coś mi się na wsi wcale nie wiedzie...

CIOTKA (podając rękę Alfredowi).

No i cóż na to, panie Alfredzie?

ALFRED (ziéwa).

Ha cóż! wyjeżdżam, wytrzymać trudno,

Tak tutaj na wsi szkaradnie nudno.

(idą ku drzwiom)

DYLCZEWSKA (idąc za nimi).

Jezus Marya, Boże mój miły!

Toż mnie nie darmo konie się śniły!

JAKUB (stoi zamyślony)

Podług rozkazu, jednak dolega,

Żem ja wypuścił z fortecy zbiega.

KONIEC.



Pan Wł. Zawadzki w liście do nas pisany oświadcza, że korespondencya w Nrze 229 Czasu z r. 1857 o *Rozbitkach* Ujejskiego nie jest jego pióra, o czém, na żądanie jego, czytelnikom pisma naszego donosimy.

Bezimiennego autora uwag o dziele Micheleta zapewniamy, że z pomyłek jakoby w ostatniej odezwie jego do redakcyi popełnionych (których żąda sprostowania) jedna tylko pochodzi z winy korektora; inne były w rękopisie i zresztą pomyłkami nazywać ich nie można. Rękopis na dowód zachowujemy.

Wszystkim łaskawym czytelnikom, dostarczającym nam rebusów, oświadczamy raz na zawsze, że materyały tego rodzaju redakcyja odsyła natychmiast osobie w tym celu uproszonej, od której dalszy ich los wyłącznie już zależy; prosimy więc aby nas za nieużycie czyjegós pomysłu nie czyniono odpowiedzialnymi.

Przy tej sposobności przypominamy, że korespondencyj niefrankowanych ani z miasta, ani z prowincyi redakcyja nie przyjmuje.

Pana A. B. Z., autora wiersza p. n. „Pieśń skrzyпка“, upraszamy o zgłoszenie się osobiste do redakcyi, każdodziennie między godziną 6 i 7 wieczorem.

Panu B. Ch. z Podlasia dziękujemy za objawioną sympatyę. Uwagi jego co do wizerunków w piśmie naszym zamieszczanych po części może są słuszne; w pospiesznym bowiem wykonywaniu drzeworytów, trudno niekiedy ustrzedz się lekkich uchybień. Zapewniamy jednak szanownego korespondenta, że właśnie dwa wymienione przez niego portrety (J. Kremera i Jachowicza) odznaczają się najzupełniejszém podobieństwem, co niezawodnie przyzna każdy, znający autora „Listów z Krakowa“ i s. p. Jachowicza, jakim był w ostatnim roku przed śmiercią.

Pana O. W. w Kijowie. Przyrzeczone materyały rysunkowe i opisy przyjmujemy z wdzięcznością. Wierszyk, lubo udatny, niezupełnie jednak treścią i formą odpowiada wymaganiom sztuki.

Panu S. w Krakowie oświadczamy, że wzmiankowany przez niego wizerunek i życiorys pożądanym dla Tygodnika będzie nabytkiem.

Życzeniu p. G. L. w Krzemieńcu radziłyśmy z serca zadosyćuczynić; ale z przyczyn od woli naszej niezależnych uczynić tego nie możemy.

Prace *p. S. Rz. w Warszawie* przeczytaliśmy z uwagą. Oceniać ich tu nie będziemy; nadmieniamy tylko że w Tygodniku drukowane być nie mogą.

ODEZWA DYREKTORA

INSTYTUTU MUZYCZNEGO WARSZAWSKIEGO.

Z powodu zbliżającego się sześciomiesięcznego terminu do zebrania i złożenia w Banku, na założenie Instytutu Muzycznego funduszków artykułem 7 posta-

nowienia Rady Administracyjnej określonego, oraz w celu rychłego ogłoszenia w pismach publicznych drugiej listy, obejmować mającej oprócz stypendyów całkowitych, zbiorowych i mniejszych datków, także i sprawozdanie o otrzymanych summach z koncertów, balów i przedstawień teatralnych, urządzonych na rzecz tegoż Instytutu; Dyrektor ma honor uprzej-

mie wezwać Szanowne Osoby, fundusze zebrane z balów i t. p. przedstawić w rękach swych posiadające, aby takowe łaskawie i bezzwłocznie nadesłać raczyły na ręce domu handlowego A. Rawicz et Comp. w Warszawie, gdzie już pierwotne fundusze są tymczasowo deponowane.

opisując go jakoby miał *teb lisi, pysk psi, zęby czarne, kły do tego ostre*. W tak ohydny wizerunku ci nieprawi synowie Apollina podali nam wraz ze swoją kłatwą biédnego Zoilusa, co przez lat dwieście z górą nie mógł się zestarzyć, i zachował zęby zawsze zdrowe i ostre do kasanja. Tysiące dzieł zachowało jego imię. Weźmy na' oslep jakąkolwiek książkę z XVII



ZOILUS.

(Rysował Kostrzewski podług oryginalnego szkicu Cypryana Norwida, rytował Müller w drzeworytni Tygodnika).

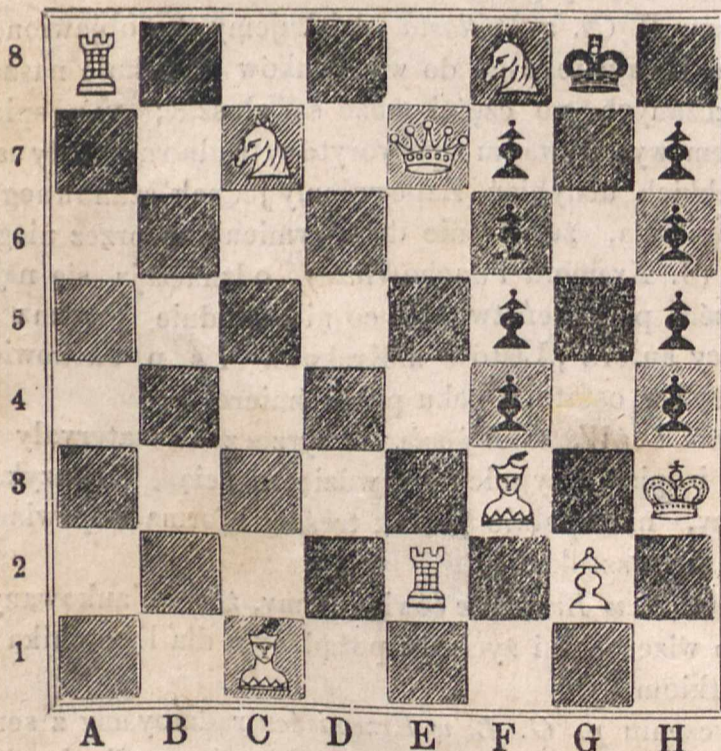
SZACHY.

ZADANIE XIX.

(A. Petrow).

Pionek biały G 2 daje mata w 14 posunięciach, przeszedłszy przez cały szereg pionów czarnych i nie wzięwszy żadnego czarnego.

Czarne.



Białe.

Chociaż położenie takie figur w praktyce zdarzyć się nie może, dajemy jednak dowcipne to zadanie, jako wyborną łamigłówkę szachową.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr 18.

Białe.

Czarne.

- 1) H 1 — G 2 1) A 4 — A 3
- 2) A 8 — A 4 † 2) B 5 — A 4 bierze
- 3) E 5 — C 3 bierze † i mat.

Gdyby czarne w pierwszym posunięciu poszły lauffrem, to pieszek biały C 2 daje mata na C 4.

Z O I L U S .

Cyprian Norwid, znany poeta, po przeczytaniu w *Zarysach domowych* rozprawy o *Zoilusie* K. Wł. Wójcickiego, podług opisu tej potwory rysunek powyżej umieszczony nakręślił. Podamy więc w skróceniu, co do zrozumienia tego rysunku należy.

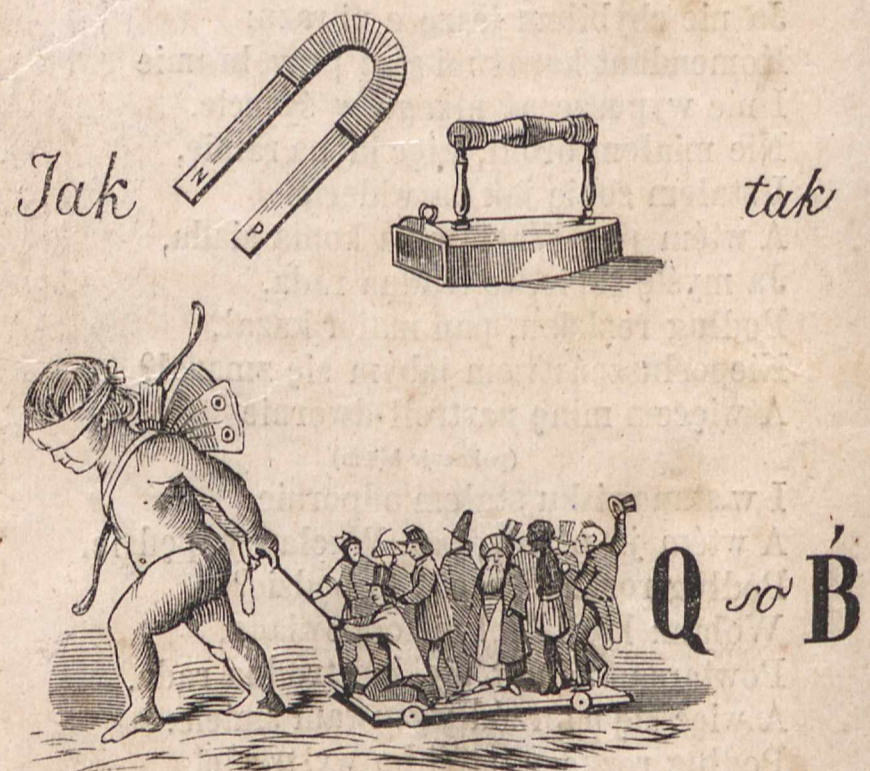
Wiadomo że w Grecji był złośliwy wierszopisarz *Zoil*, który ostrą i zjadliwą krytykę napisał na Homera i tę odczytał królowi Ptolemeuszowi, w nadziei uzyskania łaski monarszej. Król z gniewem słuchał zarzutów wielkiemu poecie narodowemu czynionych, ale słowa nie odrzekł. Gdy niedługo *Zoil*, niedostatkami przyciśniony, błagał go o wsparcie, Ptolemeusz mu odrzekł: „Homer, który przed tysiącem lat umarł, jednak po śmierci mnóstwo ludzi swoją poezją karmi: przeto i ty, gdy się nad niego uczeńszym mienisz, sam siebie pożyw.” Później za rodzicobójstwo skazany, wyrokiem króla na szubienicy zakończył życie.

Ten to *Zoil*, u nas zwany *Zoilusem*, stał się godłem zazdrosnego krytyka. W pierwiastkach literatury narodowo-polskiej, w owym wieku zwanym złotym, nie znano go wcale. Wszyscy niby pisarze polscy, jak: *Rej z Nagłowic*, *Jan Kochanowski*, *Marcin Bielski*, *Zukasz Górnicki*, *Bartosz Paprocki*, *Skarga* i *Fabian Birkowski*, nie wspominają go wcale. Zjawia się on w końcu XVI i w początkach XVII wieku; przy upadku prawdziwej oświaty i nauki, mierność go z pyłu zapomnienia starożytnego świata wydobyla. Cma lichych pustot, co je na setki rachować można, natnęła sztucznym życiem *Zoilusa*, jako widmo straszne, w niczym niepodobne do prawdziwego *Zoila*. Ci to pisarze XVII wieku, okradając niemiłosiernie wielkiego śpiewaka *Czarnolesia* i nieraz całe pieśni lub obszernie ustępy z jego poematów za swoje drukując, wyroili sobie potwór *Zoilusa* w postaci dziwniej,

wieku: po tytule, po herbie i wierszach na ten klejnot szlachecki, po przypisaniu jakiemu jaśnie wielmożnemu lub wielmożnemu panu, na samym końcu pewno spotkasz się z biédnym *Zoilusem*. Przeciwno to niemu, jako symbolowi krytyka zazdrosnego, wszyscy rzucali słowa zniewagi i kłatwy. Zdaje się że był przywiązany do najsmutniejszych okresów literatury naszej, bo przy wzroście oświaty i nauk zniknął bez śladu pomiędzy r. 1760 a 1780. Konał zwolna przez lat dwadzieścia, unieśmiertelnwszy imię swoje we wszystkich niemal dziełach polskich i łacińskich, jakie u nas drukowano przez dwa prawie wieki.

K. Wł. W.

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 24.

Na czynie polega rzeczywista zasługa.